

Dziennikarstwo stało się polityką czy raczej politykierstwem - przeczytaj rozmowę z Erykiem Mistewiczem

Nie ma w polskich programach telewizyjnych kultury, kultury wysokiej, ważnych procesów społecznych, które pozwalają nam lepiej zrozumieć świat, nie ma w ogóle gospodarki potraktowanej z powagą - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czwarta władza rozmowę o mediach z Erykiem Mistewiczem. Rozmawia Adam Talarowski.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Czy media wypełniają dziś swoją funkcję kontrolną, związaną z wyobrażeniem o ich roli jako „czwartej władzy”, monitorującą pozostałe władze, ostrzegającą, wskazującą nieprawidłowości? Często szukając źródeł kryzysu w tym względzie wskazuje się na problemy finansowe wpływające z rewolucji internetowej, z upowszechnienia bezpłatnego dostępu do treści. Czy zgadza się Pan z taką oceną sytuacji i czy Pana zdaniem stare lub nowe media odbudują swoją pozycję?

Eryk Mistewicz: Mamy do czynienia z rewolucją ogólnoswiatową i głęboką zmianą tego, co jest władzą, kto jest reprezentantem obywateli, kto, gdzie i w jakim trybie podejmuje decyzje, jakie siły wpływają na te decyzje i czy jest to proces transparentny. Moim zdaniem na początku XXI wieku mamy do czynienia z zupełnie innym podziałem władzy.

Żyjemy w świecie postpolityki, dotychczasowe instytucje tracą swoją moc, pojawiają się nowe siły, nie zawsze z początku zauważalne i łatwe do zdefiniowania. Państwa narodowe, na początku XXI wieku widać to wyraźnie, przekazują coraz więcej konstytuujących ich uprawnień na rzecz instytucji ponadnarodowych - początkowo: uprawnień obronnych, później: uprawnień ekonomicznych, a ostatnio już bez najmniejszego nawet skrywania tego faktu na poziom regulacji multinarodowych państwa przekazały uprawnienia, co do kształtowania zachowań społecznych, preferowania takich a nie innych zachowań. Państwo z mechanizmami skutecznymi w XIX i XX wieku, dziś jest z tymi samymi mechanizmami coraz bardziej bezsilne, bezwolne, niskosterowne. Staje się wydmuszką. Władza zostało albo przekazane do instytucji ponadnarodowych, albo przeszła do wielkich multinarodowych organizmów stanowiących dziś realną władzę nad ludźmi, rynkiem, działalnością publiczną, rozprzestrzenianiem i kontrolą idei. Myślę tu np. o Google.

Zmiana nie ominęła też czwartej - niegdyś - władzy. Dziennikarstwo przeżywa rewolucję totalną. To co nazywaliśmy dziennikarstwem w XIX i XX wieku, w wieku XXI już dziennikarstwem nie jest. Duże maszyny, takie jak Google, zniszczyły dziennikarstwo. Nie jest dziennikarstwem podporządkowanie algorytmom wyszukiwarek powstającego tekstu. Nie jest dziennikarstwem utrzymanie konieczność zgodności tekstu z ideową linią świata. Nie jest dziennikarstwem marketing natywny i tworzenie pod zamówienie biznesu czy polityki. Nie jest wreszcie dziennikarstwem brak odpowiedzialności za słowo. Na nową definicję dziennikarstwa musimy poczekać kilkanaście, kilkadziesiąt lat. Niestety, nie mogę podpisać się dziś pod zdaniem, że media stanowią jakąkolwiek siłę kontrolną, która przekładałaby się na realne procesy społeczno-polityczne.

Jeden przykład: piętnaście lat temu jeden tekst był w stanie obalić wiceministra, ministra, w krytycznych sytuacjach nawet cały rząd. Wówczas – piętnaście lat temu – taka informacja miała swoją moc. Odbiorca miał chwilę do namysłu, tych informacji nie było tak dużo, było większe skupienie uwagi opinii publicznej uważającej, że coś nie wypada, że trzeba to wyjaśnić, że trzeba wyjaśnić do spodu, nawet, jeżeli miałyby to boleć, to należy powołać komisję śledczą, komisję sejmową... Dziś podobnych zarzutów jak przed piętnastoma-dwudziestoma laty bywa po kilka każdego tygodnia. Informacje o często naprawdę dużej wadze pojawiają się rano i jedynym zadaniem polityka czy biznesmena, którego dotyczą jest przetrwanie do południa; jeżeli przetrwa do południa i nie wygeneruje swoją ripostą dodatkowego paliwa dla adwersarzy, ma sprawę wygraną, bo po południu nikt o tym nie pamięta. To nie ten czas, że media zmieniają świat, wywracają premierów. To nie ten czas, że informacja z mediów zmienia cokolwiek i że na jej skutek świat wokół się zmienia.

Jakie konsekwencje ma sytuacja przesytu informacyjnego? W jednym ze swoich tekstów przytaczał pan obliczenia Setha Godina, który twierdził, że przez dwa dni ludzkość produkuje taką masę informacji jaką produkowała między swymi początkami a rokiem 2003, czyli przed rozkwitem Internetu...

Dane Setha są sprzed kilku lat, ten proces jeszcze bardziej postąpił. W danych się zatopiliśmy, albo zostaliśmy zatopieni. Duża część z nas ma smartfony, generujące na okrągło dane: gdzie idziemy, co robimy, z kim się spotykamy, co lubimy, co czytamy, jak się zachowujemy, co kupujemy, o czym rozmawiamy.

Czy specyfika nowych mediów będzie sprzyjała kreowaniu wąskiego grona ludzi mediów, którzy ukształtują i uporządkują zbiór informacji docierających do odbiorcy, będą odpowiedzialni za codzienne narracje, przejmując w ten sposób tradycyjną rolę Autorytetów?

Patrzę na ten proces, jako coś naturalnego. Od czasu, gdy siadaliśmy w kręgu wokół ognia w jaskiniach, niewiele się to zmienia. Zawsze kierujemy się ku temu, kogo słuchamy - przewodnika stada, który mówi nam o świecie, o tym, że powinniśmy udać się w poszukiwaniu żywności na północ albo na południe; który przekazywał opowieści o poprzednich pokoleniach i wiedział, jak bronić się i przed kim. W każdej społeczności "od zawsze" jest ktoś, kogo można nazwać przewodnikiem, mistrzem, ktoś, kogo warto słuchać, na którą warto się nakierować i za nią podążać, ponieważ jest to osoba – tak nam się wydaje – mądra, która jest w stanie nas poprowadzić przez coraz bardziej skomplikowany świat.

Parę lat temu w książce "Anatomia władzy" postawiłem tezę, że w Polsce przetrwa maksimum dziesięciu dziennikarzy. Chcę czy nie chcę, ta teza się sprawdza. Kierujemy się na ludzi-latarnie i jest to całkowicie naturalne. Co ciekawe, mam wrażenie, że te nazwiska, które sugerowałem w "Anatomii władzy", się nie zmieniają. Obrastają swoimi najemnikami tworzącymi dla nich programy telewizyjne w internecie, portale, audycje radiowe. Tomasz Lis czy bracia Jacek i Michał Karnowski to chyba najbardziej dziś wyraziści reprezentanci tego typu dziennikarstwa, o którym mówię. Pięć, dziesięć osób; pięciu, dziesięciu dziennikarzy w Polsce. Fokusujących na sobie uwagę, dających swoim followersom, wyznawcom, czytelnikom jasny przekaz i spójną wizję

świata. Będących latarniami na szalejącym oceanie informacji, z którego nie sposób już wyłuskać inaczej tego, co najważniejsze a przy tym prawdziwe. Musimy się w tym procesie na kogoś zdać. Stąd te pięć nazwisk.

Jak sytuacja ta wiąże się z zanikiem obiektywnego dziennikarstwa na rzecz mediów tożsamościowych, o wyraźnym profilu politycznym? Piotr Legutko opisał tę zmianę słowami „Służbę publiczną dziennikarzy zastąpiła inżyniera społeczna”, gdyż zaangażowanie w spory wymusza formułę „dziennikarstwa misyjnego”, podporządkowanie podejmowanej tematyki sporowi kulturowo-politycznemu, w który jest się zaangażowanym. Czy nastąpi petryfikacja takiego stanu rzeczy, jakie ma to znaczenie dla sposobu uprawiania polityki?

Tak, to tekst Piotra Legutko z "Nowych Mediów". I ma pełną rację. Bywają chwile, że jestem przerażony polskim dziennikarstwem, szczególnie kiedy wracam do Polski po jakimś czasie. W telewizji włączam o godzinie 19 i 19:30 dwie przeciwstawne wersje świata. Nie mogę powiedzieć, że któraś z tych wizji świata jest obiektywna. W ciągu pół godziny ani jedna stacja – ani Fakty TVN ani Wiadomości TVP nie opowiadają mi tego, co najważniejsze, nie opowiadają mi świata ostatnich 24 godzin, nie przygotowują mnie do świata następnych 24 godzin. Muszę o godzinie 20, po dawce Faktów i Wiadomości przełączyć się na wiadomości telewizji francuskiej. I wtedy uderza mój mózg, niczym wielkim młotem, prowincjonalizm polskich mediów, polskiej debaty publicznej, poziomu tego, co według ludzi polskich mediów (dopasowujących się do polskich odbiorców, a jednocześnie przecież kreujących ich potrzeby intelektualne, poznawcze) powinno fascynować obywateli i o czym powinni opowiadać.

Nie ma w polskich programach telewizyjnych kultury, kultury wysokiej, ważnych procesów społecznych, które pozwalają nam lepiej zrozumieć świat, nie ma w ogóle gospodarki potraktowanej z powagą. Gdy człowiek we francuskiej telewizji opowiada o gospodarce nie dość, że go rozumiem, mimo że jestem humanistą a nie ekonomistą: mówi do mnie zrozumiałym językiem o rzeczach, które są ważne. Opowiada mi świat, dzięki czemu ja będę mądrzejszy. Jeżeli ktoś mnie namówi na demonstrację przeciwko jakiemuś rozwiązaniu ekonomicznemu, będę rozumiał o co chodzi. W Polsce nie dość, że nie ma tego, o czym powiedziałem, nie ma też przede wszystkim rodzaju strategii, tego, jaka ma być Polska w roku 2050, w roku 2100, z której by wynikało, w jaki sposób wykorzystujemy media do przygotowania ludzi do tego stanu rzeczy.

Dziennikarstwo stało się polityką czy raczej politykierstwem. Gazeta Wyborcza demonstruje w sobotę, a Gazeta Polska w niedzielę. Te dwa światy w ogóle nie rozmawiają ze sobą nie dlatego, że nie ma o czym, ale dlatego, że świadomie wzmacniana zaciekłość, zapiekłość, zwiększa identyfikację z nimi ich odbiorców. Od okładek pism począwszy - porażających. Czasami w Internecie trafiają mi się przekazy z Demotywatorów czy przygotowywanych przez młodzież vlopek, naklejek, i mam wrażenie, że te same osoby, które przygotowują Demotywatory, przygotowują też okładki polskich tygodników opinii. Oczywiście rozumiem, że pismo powinno mnie magnetycznie przyciągnąć i okładka do tego właśnie jest. Ale ona ma mnie przyciągnąć z szacunkiem dla godności ludzkiej, z szacunkiem dla mnie jako czytelnika. Tego szacunku dziś na linii wydawcy polskiej prasy - czytelnicy często po prostu brakuje.

Zarówno nasza codzienna obserwacja jak i badania pokazują, że w Polsce wyjątkowo rozpowszechnione jest głosowanie bądź podejmowanie aktywności politycznej przeciwko „tym drugim”, by „ci inni” nie doszli do władzy (bądź dlatego, że właśnie do niej doszli). Fakt ten jest oczywiście chętnie wykorzystywany przez polityków czy doradzające im osoby do prowadzenia kampanii negatywnych, defamacyjnych, bazujących często na niskich odruchach rozpoznanych przez psychologię zbiorowości – tłum. Można odnieść też wrażenie, że sprzyjają temu formy aktywności związane z Internetem czy portalami społecznościowymi. Czy da się odwrócić ten trend? Z drugiej strony nowe media oferują możliwości pociągające za sobą niezaprzeczalne korzyści...

Głębiej się zastanawiając nad problemem wypada jednak stwierdzić, że nowe media są uczciwsze. Bardziej transparentne. Do pewnego poziomu oczywiście, i z pewnymi zastrzeżeniami.

W latach 90-tych proces tworzenia tekstów nie był poddany minimalnej choćby kontroli społecznej, obraz mediów daleki był od zrównowżenia. Nie było dyskusji, jaki model gospodarczy przyjmujemy i czy ten liberalizm, o którym tak mówimy i współpraca wyłącznie na jednej osi geopolitycznej jest najlepsza. Przyjmowano, że idziemy w taką to a taką stronę i media ten nasz marsz ku nowoczesnej przyszłości wspierały, ograniczając jednocześnie wszelkie dyskusje. Ci, którzy mówili o tym, że powinniśmy zostawić dobra narodowe, że proces prywatyzacji mógłby być dokonywany trochę mądrzej i spokojniej, byli uznawani za szaleńców. Innych mediów nie było –

przydziały papieru, koszty druku, koszty prowadzenia redakcji, koszty potencjalnych procesów sądowych, wszystko to utrudniało zakładanie mediów konkurencyjnych.

Dziś spotykam wiele osób, które mówią, że w ogóle nie posiadają telewizora, bo po co im telewizor? Do oglądania filmów mają kino, do oglądania filmów wieczorem z żoną mają duży laptop z dużym monitorem. Gdy pytam ich, co czytają, to mówią, że książki. A z czego czerpią wiedzę o świecie – gazety, płatne, bezpłatne, cokolwiek? Nie, nic, żadnych gazet, żadnych tygodników opinii. To spora grupa ludzi, która nie potrzebuje się napędzać ani w jedną, ani w drugą stronę. Szukają informacji o procesach zachodzących w świecie. Nagle się okazuje, że potrafią pisać, przysyłają teksty. Tak powstało WszystkoCoNajwazniejsze.pl jako miejsce gromadzące tych, którzy chcą napisać o tym, o czym nie można gdzie indziej przeczytać. Ludzi od biotechnologii, od historii, od filozofii, prawa, świata idei, pięknych fotografii i opery, cyberbezpieczeństwa i strategii geopolitycznych. W latach 90-tych stworzenie czegoś takiego jak WszystkoCoNajwazniejsze.pl byłoby niemożliwe, bo wymagałoby zgód, dotacji. Dziś już jest inaczej. Liderzy opinii, nowe elity, ludzie, którzy myślą i którym nie wystarcza papka mediów masowych mogą się łączyć w swoje stada, na swoich zasadach i regułach. Mogą gromadzić ludzi. Nowe media, sieć, stały się bardzo pomocne.

Problemem jest rzecz jasna identyfikacja nadawców: czy to, co czytamy, co jest "fajne", co chętnie prześlemy dalej, nie jest pułapką na nas, żebyśmy tego kogoś spopularyzowali, zachęcili innych do śledzenia jego twórczości, a następnie okaże się, że uczestniczyliśmy bezwolnie w budowaniu przez nieznaną nam osobę, firmę czy instytucję farmy trolli.

Dla mnie gwarancją jakości informacji nie jest, że informacja czy opinia pochodzi z konta Gazety Wyborczej czy Gazety Codziennej, Rzeczpospolitej czy Polski The Times. Gwarancją dla mnie jest wyłącznie osoba, która jest autorem wpisu. Jeżeli widzę, że ta osoba jest sensowna, ma wysoką reputację i renomę w moim wewnętrznym, subiektywnym rankingu – podaję dalej. Ten świat jest zupełnie innym światem niż był 10, 15 lat temu.

W ostatnich latach politycy i wyborcy chętnie szukają sposobów nawiązywania komunikacji bezpośredniej z wykorzystaniem możliwości związanych z istnieniem internetowych kanałów komunikacji. Jakie są tego dobre i złe strony? W artykule „Twitter, czyli opowieść o rektorze średniej wielkości uczelni” pokazał Pan mechanizmy funkcjonowania, można tak nazwać, „czarnej strony” mediów pozwalających na taki bezpośredni kontakt, co sprawia, że nie każde medium komunikacji jest odpowiednie dla różnych form aktywności publicznej. Co ostatnie kilka lat doświadczeń mówi nam w tej mierze o związku polityki z takimi bezpośrednimi kanałami komunikacji internetowej?

Uczymy się. Wszyscy się ucą – ucą się politycy, ucą się odbiorcy.

Mam wrażenie, że na samym początku Twitter był narzędziem bardziej ekskluzywnym, w tej chwili jest narzędziem wręcz masowym, w takim rozumieniu tego słowa, że rozumiem te osoby, które Twittera porzucają. Rozumiem osoby, które po byciu na Twitterze na koncie

anonimowym, mówią: „nie, lepiej nie będę zakładał tam konta”. Bycie w świecie tak bardzo na widoku, tak bardzo transparentnie, niesie za sobą reguły, które dopiero są wypracowywane dla urzędników.

Jestem za tym, że można przenosić reguły ze świata rzeczywistego, realnego, do sieci. Jeżeli ktoś jest dobrze wychowany w świecie realnym, mówi „Proszę pana, proszę pani”, to w świecie wirtualnym będzie mi się z nim bardzo fajnie rozmawiało. Jeżeli jest niewychowany i zacznie od bluzgów albo zacznie od mówienia per „Ty”, potem tłumacząc, że dzisiaj tak jest wszędzie, bo w Ameryce się mówi na „Ty”, to ułatwia i udrażnia komunikację, bo się tych 7-8 literek zaoszczędzi, a tu chodzi o to, żeby zaoszczędzić i by się zmieściło w tych 140 znakach, to już wiem, że najprawdopodobniej nie mamy o czym rozmawiać.

Jeżeli ktoś tak impulsywnie przekazuje dalej szlam w sieci, opatrując jeszcze informacjami: „zobaczcie, jaki szlam”, wówczas reaguję, pisząc: „człowieku, opanuj się, wiemy wszyscy, że jest szlam. Tego szlamu jest tak dużo, że każdy kolejny szlam, który nam pokazujesz nie wzmacnia naszego przekonania, tylko w ten sposób retwitujesz, przekazujesz dalej ten szlam, wzmacniasz ten szlam”.

Toteż osoby publiczne czy naukowcy mają często wrażenie, że muszą nad tym zapanować, to znaczy mogą wejść raz na dwa dni, zobaczyć, co się dzieje, coś ewentualnie skomentować w taki sposób, by nie powodowało to fali złych emocji. Bycie w świecie nowych mediów jest bardzo trudne. Politycy uczą się tego. Nie jest najlepszym rozwiązaniem konto polityka prowadzone przez sztabowców, bo to widać. Jestem przeciwnikiem tego typu rozwiązań. Wolę, żeby to był

polityk, który co najwyżej nie wchodzi w interakcje, niż żeby to był polityk, który wchodzi w interakcje, z których trzeba się tłumaczyć następnego dnia rano. Uczymy się, wszyscy się uczymy tych narzędzi.

Można spotkać się z opinią, że Internet czy procesy globalizacyjne akurat w odniesieniu do sfery polityki nie budują wspólnoty, ale kształtują nas jak cząstki elementarne, coraz bardziej pozbawione wspólnego kodu kulturowego; nawet zbiór faktów, właśnie faktów, a nie opinii, którymi dysponują zwolennicy poszczególnych opcji politycznych jest zupełnie różny. Jakie ma to lub może mieć w przyszłości znaczenie dla polityki?

Powiedział Pan, że nowe media nie sprzyjają budowaniu wspólnoty. Totalnie się nie zgodzę. Widzę wiele wspólnot budowanych nie wokół legitymacji partyjnej, nie wokół partii politycznej, ale wokół człowieka w sieci, człowieka, który proponuje nagrania na YouTube i ludzie za nim idą, proponuje swoje pomysły na internet i ludzie idą za tymi nadawcami. To są tysiące, czasami setki tysięcy, a w krajach posługujących się językiem angielskim miliony osób. Buduje się wspólnota przeżywania, wspólnota wokół artysty, wokół prezydenta miasta, który ma wizję swojego miasta. Dzięki tej dobrze zarządzanej wspólnocie w mediach społecznościowych może prezydent miasta przekonywać, że referendum, które ktoś planuje by go odwołać, nie ma najmniejszego sensu, trzeba zaś się zgromadzić i walczyć o te rzeczy, o które prezydent miasta chce walczyć dalej.

Nie ma dużej różnicy, czy mamy do czynienia z artystą, piosenkarzem, czy z prezydentem miasta, który chce zbudować wokół swoich idei, swoich spraw, tego, co dla niego jest najważniejsze, grono odbiorców.

Miałem na myśli to, że te wspólnoty, które się tworzą, są tak wzajemnie opozycyjne, spolaryzowane, że brak im wspólnego fundamentu wartości, norm, posługują się wręcz innym językiem, a ich ogląd rzeczywistości jest skrajnie różny.

Tak, ale ten proces jest szerszy. Myślę w tym miejscu o edukacji, o potrzebie odwoływania się do pewnego rodzaju backgroundu kulturowego, którego za chwilę polskie dzieci nie będą miały. Twórcy reklam mają w tej chwili już problemy, ponieważ reklama operuje naturalnymi skojarzenia, naturalnymi zbitkami. Dziś tych skojarzeń, podobnych dla całej populacji, nie ma...

Tego typu brak podstawy kulturowej, o edukacji wolę nie mówić. Zmierzamy w stronę bezmyślnych robotników, którzy są w stanie wykonywać proste prace, nie tworząc zespołów, nie budując żadnej więzi, którym do zaliczenia matury wystarczy powiedzenie jak wygląda książka, jak wygląda krzesło i czym się różnią. W programie nauczania mają do czynienia z pięcioma, sześcioma lekturami przez cały proces kształcenia – i to lekturami, których wcale nie muszą przeczytać i zrozumieć.

Przeciwko temu działa też polityka wielkich graczy internetowych, ograniczania i promowania konkretnych treści i poglądów. Stosując algorytmy personalizują treści docierające do użytkowników, tworząc iluzję świata dopasowanego do oczekiwań, odcinając od debaty toczącej się poza obszarami zainteresowania konkretnej osoby, korzystającej z danych serwisów społecznościowych i portali internetowych.

To o czym Pan mówi, o mikrotargetowaniu, o sposobie, w jaki giganty świata próbują być pośrednikami komunikacyjnymi pomiędzy rzeczywistością a ludźmi, to bardzo niebezpieczny proces. Jest zupełnie niedemokratyczny, nie podlega najmniejszej nawet kontroli jakiegokolwiek instytucji, nie podlega kontroli obywateli.

W każdym algorytmie można go doważyć albo nie doważyć. Można stworzyć algorytm całkowicie zobiektywizowany, który będzie oparty na lekkim doważeniu Newsweeka, Gazety Wyborczej, Onetu, Faktu, kilku mediów i niedoważeniu mediów z innym obrazem świata. Nie ma żadnej kontroli nad tym procesem a doważenie i niedoważenie jest bardzo trudne do udowodnienia. I oto nagle wielka siła będzie mówiła nam to, co mówiły nam media papierowe, telewizyjne i radiowe w latach 90-tych. Będzie to siła, z którą będzie można „dealować” - będzie można zanim rozpocznie się kampania wyborcza pojawić się w biurze warszawskim takiej czy innej wielkiej korporacji i spytać, ile będzie kosztowało, żebyśmy my byli lepsi niż tamci. Jeżeli to będzie robione w sposób amatorski, oczywiście zostanie wyśmiane, natomiast jeżeli to będą rzeczywiście duże pieniądze, stawka naprawdę duża – kraj średniej wielkości, geopolitycznie w strategicznym miejscu w Europie, to pieniądze, które mogłyby znaleźć się w systemie na rzecz zmiany władzy, będą duże. To jest kwestia zmiany władzy w Polsce przy okazji następnych wyborów. Przy takiej nonszalancji względem tych przedsiębiorstw świata nowych mediów; to naprawdę będzie łatwe.

We Francji żaden z ministrów nie był w siedzibie gigantów świata nowych mediów, mimo że oni się starali, digitalizowali Luwr, robili multum przedsięwzięć CSR-owych pod tytułem, że pani minister kultury, która przy okazji nadzoruje media, ale też kulturę, może by

zobaczyła naszą galerię zdigitalizowanych dzieł z Luwru, a pani minister wysmażyła tak potężny tekst oskarżycielski wobec świata nowych mediów, które nie płacą podatków we Francji, degenerują kulturę, doprowadzają do zniszczenia dziennikarstwa etc. W Polsce zaś nie ma w ogóle świadomości, że to, że ktoś przechodzi do Polski to po pierwsze jest to drenaż mózgów, po drugie gigantyczna siła ideowa, ideologiczna, która powinna być w minimalnym chociażby stopniu – na pierwszym poziomie kontrolowana, na drugim poziomie zarządzana.

Jaka więc powinna być rola państwa w zakresie kontroli i finansowania; czy państwo powinno współodpowiadać za utrzymywanie poważnych mediów publicznych, w tym prasy? Czy da się wówczas uniknąć sytuacji, w której media te stają się biuletynami informacyjnymi obozu rządzącego? Jak może wyglądać finansowanie mediów publicznych w kontekście nowych mediów? Co mówi o tym doświadczenie innych państw?

Model francuski najbardziej mi się podoba. To model, w którym państwo jest odpowiedzialne za kształtowanie poziomu intelektualnego swoich obywateli. Poprzez całą sferę przedszkola, szkoły, szkoły średniej, aż do poziomu uniwersyteckiego. Mój ulubiony przykład to ośmiominutowa relacja w drugim programie francuskiej telewizji w niedzielę – fragment poświęcony kulturze, na przykład o operze w Bordeaux. Gdybyśmy w polskich Wiadomościach w niedzielę puścili osiem minut z opery w Kaliszu, wtedy oczywiście wszyscy by się przełączyli na inny program. We Francji się nie przełączają. Dlaczego? Dlatego, żeby móc następnego dnia w biurze powiedzieć, aby nie wypaść z obiegu informacyjnego, kulturowego – otwarto operę w Bordeaux, jest taki a taki spektakl. Człowiek tam nie pojedzie z Paryżu lub Lyonu z dwóch powodów. Po pierwsze jest to geograficznie daleko,

po drugie opera go nie interesuje. Standard kulturowy zostanie jednak wysoko postawiony przez państwo, które czuje się odpowiedzialne za intelektualną stronę wykształcenia obywatela.

Mądre państwo powinno zadbać o poziom edukacji i zadbać o poziom mediów. We Francji jest zrobione to tak, że kilka miliardów euro jest przekazywane każdego roku wszystkim tytułom prasowym od prawa do lewa. Coś, co natychmiast wzbudziłoby w Polsce bardzo dużo głosów krytyki – przecież my wygraliśmy wybory, to powinniśmy teraz naszych wspierać. Nie, we Francji, niezależnie od tego, czy rządzą jedni czy drudzy, od La Croix na prawo, poprzez Le Figaro, Le Monde, Libération aż do L'Humanité, trockistowskiego organu partii komunistycznej, wszystko to jest dofinansowywane przez państwo i to dofinansowywane w dużym stopniu. Czy ten model jest możliwy przy naszym poziomie intelektualno-politycznym? Obawiam się, że nie, czego przykładem były kolejne rozdania pieniędzy w procesach dotacyjnych. Tak jak wcześniej Krytyka Polityczna wszystko, Pressje i pisma prawicowe nic, to teraz Krytyka Polityczna nic... Od ściany do ściany. To utrudniłoby zrealizowanie takiego projektu. Jestem za tym, żeby wartościowe miejsca w sieci były subsydiowane przez państwo, tak jak filharmonie. Niczym się nie różni przecież subsydium dla filharmonii czy szkoły wyższej, od subsydium dla medium telewizyjnego, radiowego, prasowego, poważnego medium internetowego.

To wymaga też konsensusu na jeszcze wyższym poziomie. Przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, jaka ma być Polska w roku 2050 lub 2100. Zastanówmy się dokąd idziemy. Jeżeli będziemy wiedzieli dokąd idziemy, zastanówmy się jak to pójście mądrze zrealizować i co nam do tego jest potrzebne. Jaki poziom edukacji jest nam potrzebny, tak jak

wiemy jaki poziom opieki zdrowotnej. Zaczniemy od spraw podstawowych. Jestem ogromnym zwolennikiem synergii, współpracy. W Instytucie Nowych Mediów prowadzimy projekty, gdzie zapraszamy różne środowiska. Na platformie WszystkoCoNajważniejsze.pl, widziałem i teksty z Teologii Politycznej, i prezentacje projektu Obserwatora Finansowego czy Stacji 7. Współpracujemy, zastanawiamy się, róbmy projekty, realizujemy, bądźmy blisko. Z tego typu synergii potem rodzi się siła. Wierzę w intelektualną zdolność do współpracy w zakresie wysokojakościowych mediów.

Benedykt XVI w orędziu na Światowy Dzień Środków Przekazu w 2012 roku podkreślał wagę milczenia w komunikacji międzyludzkiej i dialogu, zwracał też uwagę, że współczesny człowiek jest bombardowany odpowiedziami na pytania, których sobie nie stawiał, albo na potrzeby, których nie odczuwał. Dynamika nowych mediów sprawia, że odbiorcy z jednej strony, o czym mówiliśmy, nie potrafią zapanować nad natłokiem informacji, z drugiej zaś odczuwają pokusę ciągłego mówienia, „nadawania” a nie „odbierania”, komentowania, także atakowania swych przeciwników. Czy nowe media sprzyjają zachwianiu równowagi w tym względzie, a jeśli tak, co można z tym zrobić?

Kiedyś porównałem nowe media do ruchu drogowego. Bądźmy uważniejsi, jedźmy wolniej, nie naciskajmy pedału gazu. Jedźmy uważniej, z większą refleksją, dlatego, że wszędzie wokół nas są ludzie. Ruch drogowy i nowe media to jest dokładnie to samo. Bardzo łatwo jest przejechać kogoś, kto idzie wolniej, kto potrzebuje innego typu refleksji do odpowiedzenia na jakieś pytanie, kto czasami nie rozumie

zasad poruszania się po drodze i w związku z tym wchodzi na drogę i sobie stoi, patrzy na nadjeżdżający samochód i nie rozumie, że się zbliża i go zabije.

Uważność, refleksja, milczenie. Tylko, że tego nie uczy szkoła, nie uczą media, nie przygotowują do życia z nowymi mediami żadne programy, ani publicystyczne w mediach, ani programy edukacyjne w szkołach. Ludzie eksperymentują, zakładają konta na kolejnych serwisach, zastanawiają się, co mogą powiedzieć, co wypada powiedzieć, czego nie wypada powiedzieć, co im doda blasku i sympatii u innych, co ich wzmocni, co wzmocni wizerunek profesjonalny. Doprowadzają do różnego typu sztuczności, ale wciąż poszukują. W tym poszukiwaniu ważna jest uwaga, ważne jest, by nie zabijać innych, nie krzywdzić innych, występować pod imieniem i nazwiskiem. Nie jesteśmy w Chinach ani na Białorusi. Obserwuję około tysiąca osób w kanałach społecznościowych francuskich i pięćset w Polsce i mam wrażenie, że każdą z tych osób znam, z imienia i nazwiska, często spotykam się przy różnych okazjach. Jestem uważny w relacji z nimi i mam wrażenie, że oni są też uważni w relacji ze mną. To wszystko jest otoczone kokonem trzymających nas z dala od bagna tego świata. Ale twórzmy takie kokony i twórzmy miejsca mądrości i refleksji. To o czym pisał papież Benedykt, to bardzo ważna uwaga do funkcjonowania nas wszystkich w świecie współczesnej komunikacji.

Z Erykiem Mistewiczem rozmawiał Adam Talarowski

Eryk Mistewicz - Prezes Instytutu Nowych Mediów. Laureat Polskiego Pulitzera. Specjalizuje się w strategiach komunikacyjnych. Pracuje w Polsce i we Francji, pisze książki, jest też szefem kwartalnika „Nowe

Media”.